

Gość Niedzielny



Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na Niedzielę piątą po Wielkiejnocy

Jak. 1. 22—27.

Lekcja.

Najmilsi! Bądźcie czynicielami słowa, a nie słuchaczami tylko, oszukiwającymi samych siebie; bo jeśli kto jest słuchaczem słowa, a nie czynicielem, ten podobny będzie mężowi przypatrującemu się obliczu narodzenia swego we zwierciadle. Bo się obejrzał i odszedł, i wnet zapomniał, jakowy był. Lecz kto by pilniej wejrzał w zakon doskonałej wolności i wytrwał w nim, nie stawszy się słuchaczem zapamiętliwym, ale czynicielem uczynku, ten błogosławiony będzie w sprawie swojej. A jeśli kto mniema, że jest nabożnym, nie powściągając języka swego, ale zawodząc serce swe, tego nabożeństwo próżne jest. Nabożeństwo czyste i niepokalane u Boga i Ojca, to jest: nawiedzać sieroty i wdowy w ucisku ich, a siebie zachować niezmażanym od tego świata.

Ewangelja.

Jan XVI. 23—30.

W on czas mówił Jezus uczniom swoim; zaprawdę, zaprawdę wam powiadam: jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię moje, da wam. Dotychczas o nic żęście nie prosili w imię moje. Proście, a weźmiecie; aby radość wasza była pełna. Tom wam powiadał przez przypowieści. Przychodzi godzina, gdy już nie przez przypowieści mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu oznajmię wam. W on dzień w imię moje prosić będziecie; i nie mówię wam, iż ja będę Ojca prosił za wami; albowiem sam Ojciec miłuje was, żeście wy mnie umiłowali i uwierzyliście, że ja od Boga wyszedłem. Wyszędłem od Ojca, a przyszedłem na świat; zaś opuszczam świat, a idę do Ojca. Rzekli mu uczniowie jego: Oto, teraz jawnie mówisz, a żadnej przypowieści nie powiadasz. Teraz wiemy, że wszystko wiesz, a nie nie potrzebować, żeby cię kto pytał. Dla tego wiemy, żeś od Boga wyszedł.

Ks. N. Cieszyński.

Arcybiskup-Męczennik

(Ciąg dalszy)

W ziemi Waszyngtona.

Kiedy przybił 10 listopada do ludnych brzegów ocienionych gwiazdzistą banderą i rozpoczął swoją pracow-

tą wędrowkę po tych zgiełliwych rojowiskach wielkomiejskich, podróż jego zamieniła się „w pochód triumfalny po licznych osadach polskich Stanów Zjednoczonych“.

Zarazem przyjechał on „podziękować Stanom Zjednoczonym, rządowi i hierarchji katolickiej za interwencję w najgroźniejszej chwili swego życia u władz bolszewickich i za dowody sympatji w cierpieniach, a uczynił to godnie i sprawnie“. („Przegl. Kat.“ Milwaukee z l. 1926, str. 16). —

Toteż w Nowym Jorku pospieszył do kardynała Hayes'a, mile przezeń przyjęty, w Waszyngtonie do delegata apostolskiego i do prezydenta Coolidge'a, który wyraził wobec niego uznanie dla pracowitości Polaków-amerykanów.

Wśród rzesz, wybiegających na spotkanie polskiego Męczennika trza było rozwinąć niesłychaną pracowitość i ruchliwość. Pisał arcybiskup do przyjaciela: „Od rana do wieczora jestem zajęty, formalnie ani chwili wolnego czasu... Polonji naszej tu moc, druga Polska. I to wszędzie Dzieci, całe armje. Kościoły piękne, nie raz piękniejsze niż w kraju. Szkoły prześliczne, w nich uczą siostry“.

Niestrudzony przemawiać tu musiał bezustannie nie raz 50 razy dziennie, to tu to tam zapraszany, z nowocześnie czyżością przenosząc się z miejsca na miejsce niósł wszędy różdkę oliwną chrześcijańskiego pokoju i zachęcał do wytrwania w miłości dla trzech matek, Stołicy Apostolskiej, Ojczyzny starej i nowej. (Z mowy biskupa Nowowiejskiego).

W niektórych miastach zatrzymywał się dłużej, tak w Buffalo pięć dni, a w największym mieście polskiem na świecie, w Chicago dni osiem. Zgotowano mu tu iscie królewskie przyjęcie. Kiedy przybył 1 grudnia 1925 roku wraz z swoim sekretarzem ks. Stanisławem Kruczkim i nieodstępnym sługą „starym Grzegorzem“ oczekiwali go na dworcu miejscowi duchowni w liczbie 150 z biskupem Hobanem na czele, dalej przedstawiciele najrozmaitszych związków i stowarzyszeń i tłumy różnojęzyczne. Powitany przez biskupa Hoban'a w imieniu miejscowego kardynała Mundelein'a rozpoczął zaraz pracę wywiadem udzielonym licznie zgromadzonym dziennikarzom. W przygotowanym seminarjum duchownym t. zw. Quigley. Preparatory Seminarium przypominając obowiązki religijne nie przepomniął i obowiązków narodowych, bo wyraźnie powiedział do kleryków: „Pamiętajcie, abyście wyrabiali się na dobrych Polaków, kochających język swój ojczysty i tradycje

polskie. Wy właśnie będziecie tymi przewodnikami ludu, wobec tego pamiętajcie, abyście poprawnie władali językiem polskim, byście znali naszą bogatą literaturę, a wtenczas lepiej pokochacie wszystko to co nasze, co polskie". („Dziennik Chicagoski" z 2 grudnia 25).

W takim samym duchu przemawiał i po parafjach, których codziennie zwiedzał około 10, w tych licznych szkołach, organizacjach, pō wiecach. Pamiętny był olbrzymi wiec w sali Zjednoczenia P. Rz. K., która już na dwie godziny przed rozpoczęciem była nabitą, a gęste tłumy czekały jeszcze wśród ulicy, by choć zdaleka ujrzeć niezwykłego gościa. Po odśpiewaniu hymnów amerykańskiego „Star Spangled Banner" i polskiego „Jeszcze Polska nie zginęła" i zagajenia przez przewodniczącego „alderman'a" (radca miejski). Adamkiewicza, zabrał głos miejscowy burmistrz, E. Dever, który podkreślił, że dwom zaproszeniom odmówił, by na wiec pospieszyć i że nigdy jeszcze żadnego dygnitarza tak szczerze i serdecznie nie witał; z tego znamienitego przemówienia warto choć kilka słów przytoczyć:

„Przez moje usta" — mówił p. Dever — „wita Waszą Ekszelencję całe miasto Chicago, liczące 3 000 000 ludności, a wita Cię jako dostojnego przedstawiciela cywilizacji i kultury chrześcijańskiej, którego bohaterstwo i niezłomność zasad i ideałów zachowane w obliczu śmierci męczeńskiej stały się przedmiotem podziwu dla całego świata cywilizowanego. Mam nadzieję, że Wasza Ekszelencja pozostanie dłużej z nami, zapozna się bliżej z m. Chicago i zobaczy, jak wielką rolę w rozwoju tego miasta odegrali Polacy i zacieśni silniej ten węzeł żywej sympatii, jaki 3-miljonowa ludność w Chicago nawiązała z Waszą Ekszelencją już dawno. Kiedy zaś Wasza Ekszelencja stanie na ojczystej ziemi, niech nie zapomni o nas w swoich modłach i niech zwróci czasem myśli swoje w stronę miasta, którego ludność z taką szczerością i wylaniem dzisiaj Go wita".

Po kilku innych przemówieniach zabrał głos czcigodny gość i z właściwą sobie serdecznością i pokorą dziekował szczególnie za życzliwość Ameryki. Takie m. in. rzekł słowa, odzwierciedlające jego ducha chrześcijańskiego:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. KARASIEWICZ.

Kościół w borach Tucholskich *)

Za czasów krzyżackich i polskich należała Tuchola do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i tworzyła część archidiecezji kamieńskiego, do którego należały dekanaty: tucholski, kamieński, łobżenicki, wiecborski i człuchowski. Proboszcz tucholski był zwykle kanonikiem kapituły kamieńskiej (archidiacon był sufraganiem i miał funkcję oficjale dzisiejszego) i mieszkał najwięcej w Kamieniu. Skoro na uroczyste święta przyjeżdżał do Tucholi, nie mieszkał na probostwie, lecz w Białowieży, folwarku należącym do probostwa tucholskiego. W r. 1821 zniósł Ojciec św. archidiecezję w Kamieniu i przyłączył dekanat tucholski (także kamieński, wiecborski i człuchowski do diecezji chełmińskiej). Ażeby zrozumieć, jak powstała dzisiejsza diecezja chełmińska, musimy się cofnąć wstecz. Na prośby krzyżaków ustanowił Ojciec św. w r. 1243 (zatem ok. 20 lat po przybyciu krzyżaków do Polski) po prawej stronie Wisły: a) diecezję chełmińską (pierwotnie nazywał się diecezją pruską), której biskup mieszkał w Chełmży, b) diecezją pomezzańską, której biskup mieszkał w Kwidzynie, c) diecezję warmińską i d) diecezję sambieńską. Biskupstwo chełmińskie, które powstało przed przybyciem krzyżaków, było zatem tylko szczupłe co do rozległości i leżało między Wisłą, Os-

są i Drwęcą. Pomorze zaś, czyli część Prus Wocławku, i tworzyło archidiecezję pomorską, którego archidiacon (sufragan) mieszkał w Gdańsku. Na mocy ugody między Stolicą Apostolską, a carem rosyjskim odłączono w r. 1818 archidiecezję pomorską od diecezji kujawskiej i za mieniono na wikariat apostolski, którym zawiadywał ks. kanonik Rosolkiewicz, proboszcz przy kaplicy królewskiej w Gdańsku. W r. 1821 bullą Piusa VII. „De salute animarum" zniesiono pomorski wikariat apostolski i przyłączono do diecezji chełmińskiej, do której przyłączono także, jak już wyżej wspomniałem, większą część archidiecezji kamieńskiego. Zarazem przeniesiono stolicę biskupią z Chemy do Pelplina i oddano biskupowi zabudowania pocysterskie do użytku. Pierwszym biskupem w tej nowej diecezji był ks. Stanisław Mathy, szlachcic rodem z Kobierzyna (w pow. starogardzkim).

Pierwotnym i jedynym kościołem w borach Tucholskich był kościół przy grodzie w Raciążu, który założyli już pierwsi misjonarze jeszcze za czasów Mieczysława I. i do którego należała cała okolica tucholska. Od kościoła tego wyłączono później parafię w W. Miedromierzu (prawdopodobnie w XII wieku) i parafię w Tucholi (r. 1287). Obecny kościół w Raciążu wybudowany w r. 1851 po wielkim ogniu, który nawiedził Raciąż i wieś całą i kościół zniszczył, w kościele, który się spalił, był w wielkim ołtarzu obraz łaskawy św. Józefa, a odpusty w Raciążu były bardzo ludne. Przyjeżdżali na nie z duchownych jezuitów, augustjanów i franciszkanów, ze świeckich wysocy, starostowie tucholscy itd., szlachta z pod Więcborka, Człuchowa, Świecia, Kościerzyny, Gdańska, Chojnic, Koronowa itd. Obraz św. Józefa nie był wielki i znajdował się w wielkim ołtarzu. Na obrazie tym św. Józef piastował na ręku Dzieciątko Jezus, przyozdobiony był srebrną sukienką, a na głowie miał, narówni z Panem Jezusem, srebrną koronę; w wielkim krzyżu srebrnym, ważącym cztery funty, znajdowały się autentyczne relikwie z płaszczem św. Józefa. Na ołtarzu były liczne wota, z których podczas ognia tylko kosztowniejsze wyratowano, i które wraz z częścią wyratowanych ozdób stopiono i obrócono na teraźniejszą wielką monstrancję.

Od parafii raciańskiej wyłączono najprzód parafię w W. Miedromierzu, gdzie już prawdopodobnie był w XII wieku kościół. Kościół w Tucholi wybudowano prawdopodobnie dopiero w roku 1287, w którym to roku, jak już wspomniałem, arcybiskup gnieźnieński Jakób Świnka go konsekrował. Wybudował kościół ten Świętopelk i to z kamieni i z wysoką wieżą na rynku. Rynek dawniejszy (przed spaleniem) był więcej podłużny, a kościół stał w kierunku od północno-zachodu do południowo-wschodu (od budynku magistratu do hotelu Hinza). Z dwóch stron kościoła stało 9 bud kramnych, w których sprzedawano chleb, mięso i obuwie.

W kościele tym był obraz łaskawy N. M. Panny w ołtarzu bocznym, przedstawiający Matkę Boską, piastującą Dzieciątko Jezus. Do obrazu tego miał lud osobliwsze nabożeństwo, a mianowicie modlił się wiele do niego podczas drugiej wojny szwedzkiej, kiedy Szwedzi napróżno starali się zdobyć miasto. Na pamiątkę tej cudownej obrony sprawili mieszkańcy Tucholi kosztowne wotum, stopę szerokości i stopę długości, całe ze srebra, z napisem:

„Znak obrony Twej, Panno Matko
prawdziwego Boga
Przez wojnę szwedzką całość miasta
tego, któregoś od nieprzyjaciół
Pięćroć obroniła.

Przeto na dziękczynienie nas samych
w niewolę

Oddajemy, miej w opiece Tucholę".

(*) Według listu ś. p. ks. Kujota i ks. Frydrychowicza (Geschichte der Stadt Tuchel).

Wotum to jeszcze dzisiaj istnieje. Reszta wotów, między którymi były bardzo kosztowne, z małemi wyjątkami, spaliły się podczas wielkiego pożaru w roku 1781. Wota, które ówczesny ksiądz Szumrachowski z pałacego się kościoła uratował, wydał w r. 1813 magistrat tucholski kasie państwowej, która jej obróciła na potrzeby państwowe. Zostało jedynie owo wotum, które ofiarowano za cudowną obronę od Szwedów. Dzisiejszy kościół wybudowany w r. 1784—1785, ale konsekrowany dopiero w r. 1861. Wieża kościelna ma 99 stóp wysokości, a przy kościele stoi krzyż na pamiątkę misji. Przy dawniejszym kościele wybudował Samuel Żaliński, piękną, murowaną kaplicę, mającą, oprócz chwały Bożej także przechowywać pamięć Żalińskich. Wejście do kaplicy zdobne było w marmury, a w marmurze wyrzyta podobizna Jerzego Żalińskiego i napisy na pamiątkę Macieja i Samuela Żalińskich. Niestety w tak pięknym stanie kaplica długo się nie utrzymała, a najbardziej popadła wskutek wojen szwedzkich. Wielki pożar w r. 1781 zniszczył ją zupełnie.

Do probostwa tucholskiego należy zdawien dawna wieś rycerska Białowieża (około 2 tys. morg. obszaru), którą prawdopodobnie Świętopełk, fundując kościół, podarował kościołowi tucholskiemu.

Na zamku tucholskim była kaplica, o której wiemy, iż w niej krzyżacy odprawiali regułą przepisane nabożeństwa. Zaginęła razem z zamkiem. Na przedmieściu świeckim (tam, gdzie stary cmentarz katolicki) stał kościół św. Ducha i tworzył pierwotnie osobne probostwo i połączony był tylko filją kościoła farnego, a plebanję zamieniono na szpital. Kościół istniał jeszcze w r. 1653, ale był już wtenczas w bardzo zaniedbanym stanie. W r. 1655, podczas drugiej szwedzkiej wojny, zniszczył zupełnie, ale na cmentarzu jego grzebano i nadal umarłych aż do roku 1875. Szpital zaś istniał na tem miejscu do roku 1781 i spalił się w owym wielkim pożarze. Szpitala nie odbudowano już, lecz przeniesiono r. 1788 na przedmieście chojnickie na plebanję Kościoła św. Elżbiety. W późniejszym czasie wybudował cech piwowarski na starym cmentarzu, gdzie stał kościół św. Ducha, kaplicę, w której odprawiano msze św. żałobne podczas większych pogrzebów. Jeszcze w r. 1823 była kaplica w dobrym stanie, ale później zupełnie znikła i znaku dzisiaj po niej niema.

Kościół św. Elżbiety znajdował się za bramą chojnicką niedaleko jeziora zamkowego. Przy kościele był dosyć wielki szpital, przeznaczony dla 12 osób. Za czasów krzyżackich był przy kościele tym osobny proboszcz, później przyłączono kościół ten do fary, a nabożeństwa odbywały się później tylko w suchedni, w dzień poświęcenia kościoła i w uroczystość św. Elżbiety. Był tu także cmentarz, na którym często chowano zmarłych. Prawdopodobnie w czasie drugiej szwedzkiej wojny został kościół zburzony, bo w r. 1695 ani kościół ani szpital nie istniał. Cmentarz był używany do r. 1767.

Nawrócony Mason

Wielkie poruszenie wywołało nagłe nawrócenie się bardzo głośnego człowieka w jednym z główniejszych miast amerykańskich. Należał do założycieli tamtejszej loży masońskiej. Wychowany był we wierze katolickiej, stracił jednak wiarę w czasie studjów na uniwersytecie.

Niebezpieczna choroba powaliła go na łożo. Śmierć zaglądała w oczy. Kiedy dowiedział się o tem szkolny kolega chorego, Ks. B., postanowił użyć wszystkich środków, ażeby zbłąkanego pojednać z Bogiem. Rzecz była nie łatwa. Chory nienawidził Kościoła i wręcz przecinał każdą rozmowę o religji. Kapłan nie trafil nadziei. Wybrał stosowną porę i udał się do dawnego

kolegi. Chory zaledwie zdołał oczom uwierzyć, kiedy spostrzegł kapłana we drzwiach swojego mieszkania. Dawno już nie widzieli się ze sobą.

— No, przecie w końcu możemy się przynajmniej raz jeszcze zobaczyć — przemówił chory, witając dawnego przyjaciela. W słowach tych jednak, na pozór uprzejmych, przebijał się lęk na widok katolickiego kapłana. Z wymuszoną grzecznością wyciągnął wyschlą rękę, by podać nieoczekiwanemu gościowi.

— Witam, bardzo witam — ciągnął dalej chory — ale nie zgola proszę mi nie mówić o religji. Każdy może mieć swoje przekonanie. I czemu to do tego czasu nie dałeś ani znaku życia o sobie? Cóż porabia twój brat? Czy utrzymał się jako przy swoim obdłużonym majątku?

Trudno było odrazu dać odpowiedź na wszystko, a chory zasypywał kapłana coraz to nowemi pytaniami, byleby tylko jaknajdalej odsunąć niepożądany dla siebie temat rozmowy o Bogu. Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o tem, co było koniecznem. A że lekarz polecił choremu nie pozwalać sobie na dłuższe rozmowy, ażeby się męczył, ksiądz widział się zmuszony pożegnać kolegę.

— Czybyś mi nie mógł wyświadczyć jednej, małej przysługi? — zapytał ksiądz na odchodnem.

Zagadnięty wypuścił w tej chwili swą rękę z rąk żegnającego przyjaciela, nasunął na głowę kołdrę i gorączkowo zapytał:

— Ty jednak koniecznie chcesz mnie, jak widzę, nawrócić?

— Nie zamierzam wcale prawić tu kazania, ale mógłbyś przecie spełnić jedno moje życzenie — odpowiedział spokojnie kapłan.

— Ciekawym jakie? — zapytał chory.

— Odmów jeszcze dzisiaj jedno Zdrowaś Marja.

Chory wybuchnął śmiechem.

— Ja miałbym się modlić? Już dawno zapomniałem. Żadasz odemnie rzeczy niemożliwej. Zapytaj tylko mojej żony, a z pewnością ci powie co myślę o modlitwie!...

Wnet spostrzegł, że ta odpowiedź dotknęła boleśnie przyjaciela. Chcąc go uspokoić, mówił dalej:

— Chociaż przy najlepszej chęci modlić się nie mogę, nie chcę jednak powiedzieć, że drwię sobie z waszej Matki Bożej. Naprawdę, nie. Dotychczas uważam Matkę Bożą za ideał waszej religji. Powtarzam raz jeszcze, że nie chcę Jej wcale ubliżyć. Jest w Niej coś pociągającego — wyznać muszę otwarcie. Była mojem marzeniem w młodości; jeszcze dziś stoi mi jej obraz przed oczyma.

— Jeżeli tak — wtrącił ksiądz — to nie trudno ci będzie zawiesić medalik tej, jak mówisz, zachwycającej Dziewicy na swojej piersi?

Chory był zaskoczony tą propozycją. Namyslał się przez chwilę, a potem choć z trudem powiedział:

— Niech i tak będzie!

Kapłan wyjął z kieszeni srebrny medalik Nipokalanie Poczetey i zawiesił na szyi przyjaciela. Potem opuścił mieszkanie...

Nazajutrz rano ks. B. ubierał się w zakrystji do Mszy św. Wtem staje przed nim posłaniec z listem. Ponieważ żądał bezzwłocznej odpowiedzi, ks. B. otworzył kopertę i znalazł w niej lekarską receptę. Na odwrotnej stronie recepty wyczytał:

— Proszę natychmiast kapłana!

Reszty można się łatwo domyśleć. Niepokalana Matka nie zapomniała w ostatniej chwili o niedowiarku, który w sercu swoim zachował ku Niej iskierkę miłości.

Ks. J. Sternaux T. J.

MARJA KONOPNICKA

Nasza szkapa

(Ciąg dalszy)

— He! He! He!... — rozśmiał się słodko pan Łukasz i znów do tabaki, sięgnął.

— Tak mi też, kumeńku, mów! Ślepa!... U-u-u... szpetnie ślepa!... U-u-u!...

Otrząsnął palec i tabakierkę schował.

— Jak ona ślepa jest — rzekł, pociągając nosem — to znów inszy interes, insze gadanie...

Po twarzy ojca przeleciał nagły ogień.

— A cóż tam za insze gadanie ma być? — rzekł porywczyzmem głosem. — Ślepa to ślepa! Przecie jej kumoter na książce uczyć nie da, do szkoły nie pośle. A ja kumotorowi powiadam, że druga ślepa szkapa lepsza je, niż ta widząca. A to kobyła dróżna taka, żem jak żyjący, przez tyle lat, dróżniejszej nie widział.

— Ale!... ale!... — śmiał się słodko pan Łukasz, — Bogdaj cię też, kumeńku, z taką mową. Toćbyś ty, kumeńku, wmówić wemnie chciał, że ślepa szkapa najlepsza.

— Najlepsza nie najlepsza! A równo com dróżniejszej kobyły nie widział, tom nie widział. A co o wma-wianiu to najmniej, bom przecie katolik, nie Żyd.

Ojciec mówił zwolna, hamując się, ale głos mu kipiał.

Nagle, jakby nas dopiero co zobaczył, chwycił Felka za kark i, pchnąwszy go we drzwi, krzyknął:

— A nie pójdziecie wy mi stąd, psie-nogi?...

Omuchnęliśmy, jak wiatr, ze stajenki i, jak wiatr, do izby wpadli.

W parę pacierzy potem wszedł ojciec uspokojony wraz z panem Łukaszem, jako że nie godzi się o bydlę targu przybijać inaczej, tylko w izbie, pod dachem; cygany tylko nie pilnują tego. Zaraz też zaczęli sobie rękę dawać, pan Łukasz przez poję swej dorózkarskiej kapoty, ojciec przez spencer, co mu w strzępach na grzbiecie wisiał.

— Bóg świadkiem — mówił ojciec — żebym obcemu, a jeszcze też Żydowi, za żadne pieniądze kobyły tej nie sprzedał. Tak wiem, przynajmniej w dobre ręce idzie.

— He... He... He!... — śmiał się pan Łukasz — po kumoterstwie! Po kumoterstwie! Krzywdy jej nie zrobię

— A jakby, nie daj, Boże — tu głową wskazał na matkę, która jak martwa z zamkniętymi oczami leżała — no toć człowiek nie kamień, toć już tak po przyjacielstwie darmo wywiozę...

Nie odrzekł ojciec nic, ani w tę, ani w tę stronę, tylko oczy spuścił i wąsów szarpnął, a matka obudziła się z jękiem. Może nie spała nawet.

Kiedy pan Łukasz, zgławszy się we dwoje, z izby za ojcem wychodził, rzuciliśmy się w te pędy, żeby do szkapy lecieć.

Ale ojciec odwrócił się nagle:

— Ani mi nosem za próg! — krzyknął ostro. — W izbie siedzieć...

I trzasnął drzwiami.

Byliśmy, jak ogłuszeni. Patrzyłem na Felka, a on patrzył na mnie, oczy robiły mu się coraz większe, coraz przeźroczystsze, usta i broda, jak w febrze, latały, aż, schwyciwszy się obu garściami za włosy. — Siarczyste! — krzyknął i zaniósł się wielkim płaczem.

Zaczęły się teraz dobre czasy. W izbie zrobiło się ciepło, grzyby po ścianach rósł przestały, od sklepikar-ki pożyczaliśmy drugiego kaganka na kaszę.

Tylko, że bez szkapy okrutnie się nam widziało smutno, a co który na stajenkę spojrzał, to mu świeczki w oczach stawały. A i matka jakoś nie miała wskórania.

— Już ja będę umierać, Filipie... — mówiła takim ci-

chuchnym głosem, jak ten wiatr letni. — Już się ty nie kosztuj na mnie.

To znów ni z tego, ni z owego jej się poprawiało; wołała, żeby jej piwa zagrzać, albo i mleka z masłem, a Piotrusia sama myła, czesała; opowiadała nam wtedy, jak to ona ozdrowieje, jak do Częstochowy pójdzie, jak nas ze sobą zabierze, jakie to my tam zobaczymy wie-że, jaki kościół, jakie granie na organach będzie. A miała wtedy płomień na twarzy, a oczy świeciły jej, jak próchno. Bywało tak zwykle wieczorem.

Ale gdy przyszedł ranek, leżała niby bez duszy, codzień bielsza, a jak ta mgiełka, przeźroczysta. Ani w niej głosu, ani w niej tchu, ani żadnego chcenia. Porywa się ojciec, ucho do ust przykładając, przykazuje nam cicho być — i słucha. Aż westchnie głośno, jakby sam nagle ożył i oczy do tego czarnego krzyża nad łóżkiem podniesie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rozmaitości**Napis na nagrobku Benjaminą Franklina.**

Jednym z najwybitniejszych umysłów, jakie kiedykolwiek istniały, był Benjamin Franklin, syn mydlarza, który przybył z Anglii do Ameryki. Był on drukarzem, wydawcą czasopism, pisarzem, generałym pocztmistrzem we Filadelfji, badaczem przyrody i wynalazcą gromochronu (1753), wkońcu walecznym wojownikiem za wolność północno-amerykańskich stanów († 17 kwietnia 1790). Wybitny ten mąż, którego 200-letnią rocznicę urodzin dnia 17. stycznia r. 1906 w całym cywilizowanym świecie uroczystie obchodzono, był także, jak widać z napisu na jego nagrobku, człowiekiem religijnych przekonań. Napis ten przezeń ułożony, brzmi mniej więcej tak: „Tu spoczywa ciało Benjaminą Franklina, jako oprawa starej księgi, z której treść wyjęto... Niech zginęła jednak księga, lecz tak, jako wierzył, pojawi się znów kiedyś w nowym, ulepszonym wydaniu.“

— Franklin chciał przez to powiedzieć: Duszę wyjęto z tego ciała, jak książkę z okładki. Ale całość, mianowicie ciało i dusza powstaną w lepszej, piękniejszej formie w dniu martwychwstania, jak książka w nowym, poprawnym wydaniu.

Wschodnia gałąź O. O. Jezuitów.

Kościół katolicki oddawna bacznie spogląda na schizmatyczny Wschód. W ostatnich latach myśl pracy misyjnej na wschodzie zaczęła przybierać realniejsze kształty. Wielu zakonników (redemptorysty) francuskich i belgijskich przyjęło wschodni obrządek, aby pracować wśród ludności unickiej. Ze strony polskiej również kilku jezuitów przyjęło obrządek wschodni i osiedliło się w Albertynie pod Słonimem. Protoihumen tego zgromadzenia, O. W. Piątkiewicz wygłosił dnia 25. 4 — w sali Teologicum odczyt p. t. „Nowa koncepcja polskiej pracy misyjnej na Wschodzie“. Prelegent, nie podziela-jąc entuzjazmu misjonarzy zachodnich co do rychłych wyników ich pracy, uważa jednak za konieczność prace nad ludem unickim z zachowaniem w zupełności obrządku wschodniego, tradycji i prawa wschodniej cerkwi. Prelegent twierdzi, że stworzenie wschodniej gałęzi zakonu jezuitów zostało wywołane potrzebami życiowe-mi: ludność białoruska domagała się od katolickich biskupów kapłanów, sprawujących obrzędy według liturgji wschodniej. Dla Polski, zdaniem prelegenta, praca ta jest niezmiernie ważna, bo ludność kresową najsilniej ujmuje się przez poszanowanie jej zwyczajów, uczuć religijnych i patriotycznych.

S.